

Waldemar Bałda

Serce Bieszczadów

Opowieść o Ustrzykach Górnych



Zdjęcie na pierwszej stronie okładki – fot. Michał Koliński

Zdjęcie na czwartej stronie okładki – fot. Tadeusz Budziński, z archiwum Jana Jarosińskiego

Redakcja:

Monika Ulatowska

Opieka redakcyjna

Teresa Łozowska

Projekt okładki, skład:

Anna Skurska

Książki wydawane przez Księży Młyn Dom Wydawniczy mają na celu ukazanie piękna, tradycji oraz historii miast i regionów naszego kraju. Poprzez nasze publikacje pragniemy utrwalać i rozbudzać miłość mieszkańców do swych małych ojczyzn.

Księży Młyn Dom Wydawniczy – czołowy wydawca książek regionalnych i komunikacyjnych zaprasza do współpracy Autorów mających pomysły na książki związane z miastami, regionami oraz tematami komunikacyjno-transportowymi.

Prosimy także o kontakt osoby posiadające zarówno zdjęcia, jak i różnego rodzaju pamiątki nawiązujące do interesujących nas tematów.



Książki dla ludzi ciekawych

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2019

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-498-7

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

Kup książkę

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2019. Wydanie 1

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI

CREDO

I. NAJDAWNIEJ

Kolebka w kotlinie

Wejście Kmitów Szreniawitów

Na wyrębie, na wołoską modłę

Założyciele ze Stuposian?

Herbowi właściciele

Stadniccy, Dwerniccy, Ustrzyccy...

Złoty interes dostojnika

Beskidnicy – plaga zgoła żywiotowa

Pozorna rozbieżność

Jeszcze o pogranicznych zbójach

Krwio pijcy i najeźdźcy

Z okienkiem na świat

Chłopska codzienność – próba rekonstrukcji

Bieda pod niebosiężnymi dachami

O wołach opowieść

Refleksja nad niezmiennością

U schyłku niepodległości

II. ZA AUSTRII I JESZCZE PÓŹNIEJ

W dobrach kameralnych

Głód i milczenie słownika

Jaśniepańska rozrywka

Jeszcze o właścicielach i ich rezydencji

Passus cerkiewny

Strzępy statystyczno-demograficzne

Czego nie ma, a co jest?

Trzy grosze o gospodarce

Pamięć o świetle i niedosłej kopalni
Ostępy, jelenie, niedźwiedzie
Pożegnanie z Galicją

III. ZAGŁADA

I znowu wojna. Długa...
Zgliszcza i zdziczałe koty
Laurka dla akcji „Wisła”
Gorzkie żale

IV. MIĘDZY NICOŚCIĄ A WSKRZESZENIEM

I tylko las, i pustka
Graniczne kontredanse
Bezdroże – bezludzie
Miejsce w historii
Turystyka pod rygorami
Śladami innych prekursorów
Droga przez mękę
Powroty leśników
Jedyni mieszkańcy
Niczym himalaiści...
Narciarskie „wążchanie”
Dziennikarscy pionierzy

V. NOWY ROZDZIAŁ HISTORII – OTWARTY

Mocne wejście drogowców
Koszty i zyski; korzyści i straty
Na trasie Zakopane – Rumunia
Poprawianie przewodników
Są, a jakby...
I tylko schronisko
Gospodarstwo Hartmanów
Rozgłos całkiem niepotrzebny
Biały żywioł

Studenckie odkrycie
Glosa komunikacyjna
SKPB-owskie zauroczenie
Baza imienia żubra
Z fantazją – melancholią – smutkiem
Harcerskie trzy grosze
ZBL w akcji
Hotelowe dole i niedole
Kulinarne niespodzianki
Drogi i kamieniołom
Wojsko śpiewa!
Goprowcy
Przykład i symbol
Obrazek ze służby
Zmotoryzowana pomoc
Sentymenty i ekscesy
Ofiarni i... psotni
Nie tylko wiatrem i widokami
Pulpit – centrum życia towarzyskiego
Trochę o „folklorze”
Żubrzy patron
Władek, który zawsze był w porządku
Król połoniny
Wejście baców
Problemy i korzyści
Krezus w bukowych portkach
Góralskie obyczaje
Nowy lud – nieskodyfikowany
Pocztowy wątek
Hossa przeszła bokiem
Harcerze w natarciu (i defensywie)
Z rysiem (i patologią) w herbie
Ekspansja parku
kościelne budowanie
Nietuzinkowi
Papieskie ślady

W przededniu wielkich zmian

Gustavus obiit – natus est Conradus

Zielony Domek

Złośliwości (albo żalów) jeszcze trochę

Powrót pograniczników

VI. ETAP OTWARTY, NIESKOŃCZONY

Spory, wizje, legendy

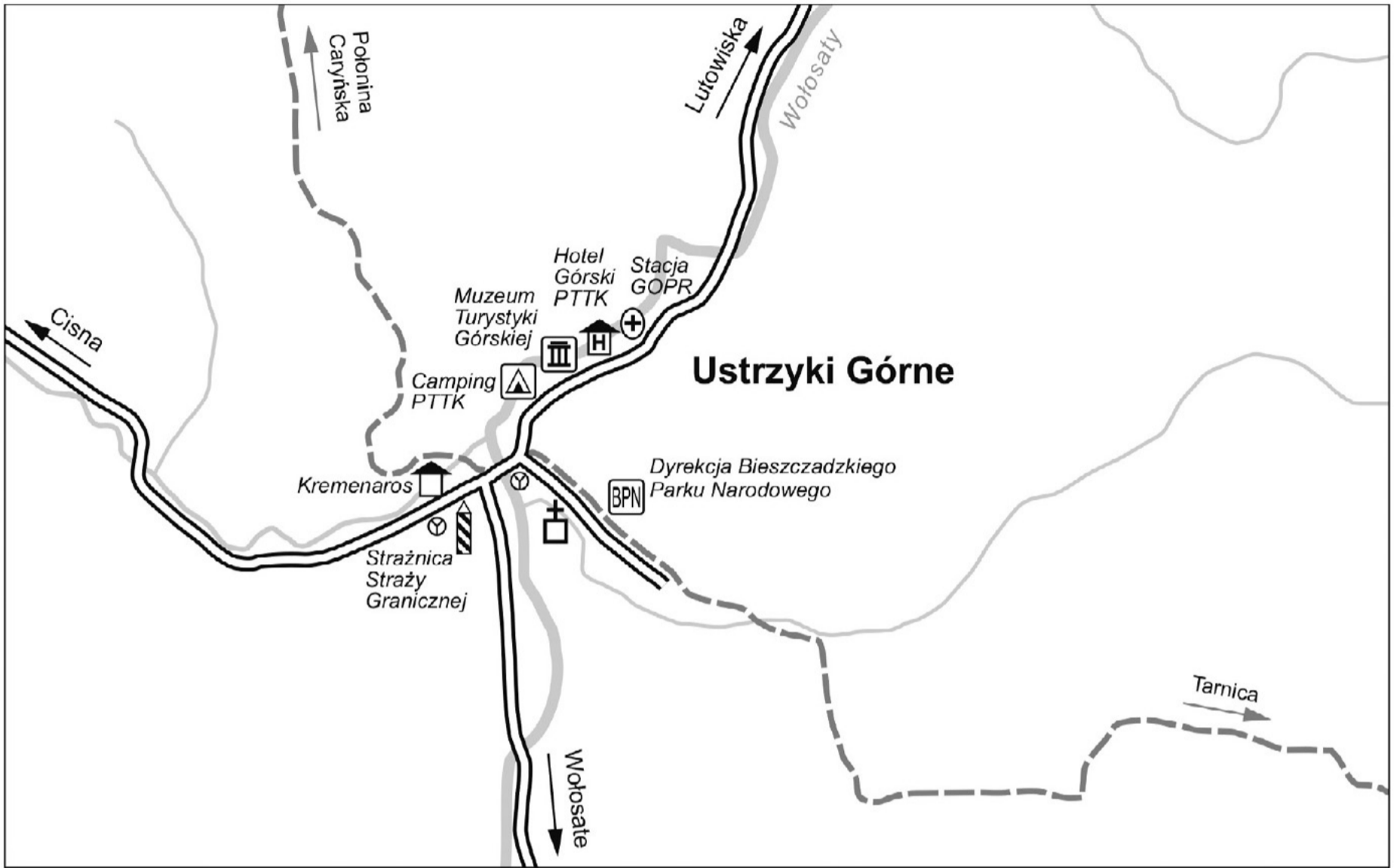
Ciszej, ciszej; całkiem cicho

Zlepione sołectwo

A dziś, a kiedyś...

CODA

BIBLIOGRAFIA



CREDO

To nie jest książka dla wszystkich – ale to może być książka dla każdego. Różnicę wytłumaczyć łatwo: nie wszyscy znają Bieszczady – a zwłaszcza nie wszyscy ulegli ich czarowi, który sprawia, że wybrawszy się w nie raz, wraca się tam nieustannie – każdy jednak może się w tych górach rozkochać. A wtedy będzie już stracony, wierny im na zawsze.

To książka dla każdego – choć i w tej kategorii można spróbować dokonywać rozróżnień. Na pewno dla tych arcyweteranów, którzy pamiętają, że Bieszczady zaczynały się w Zagórze – bo tam dochodził pociąg; dalej trzeba było maszerować w trudzie i znoju. I na pewno dla weteranów bez przedrostka pamiętających, iż wyprawiwszy się w podróż pociągiem, zdążającym „ze świata” do Zagórze, pod żadnym pozorem nie należało wysiadać w tym kolejarskim miasteczku (jeśli nie chciało się nocować w domkach campingowych nad Osławą, lecz jak najprędzej poczuć wiatr od połonin), gdyż nieostrożność taka groziła wielogodzinnym obserwowaniem autobusów PKS, przejeżdżających mimo przystanku pod dworcem z tablicami „Brak miejsc” (czy może: „Miejsc wolnych brak”?) za szybą, gdyż kierowcy nikogo tam ani nie wysadzali, ani nie zabierali. Doświadczeni wiedzieli, iż z dalekobieżnego (co oznaczało jednocześnie: bardzo, bardzo wolnobieżnego...) pociągu wysiadać trzeba w Sanoku, albowiem tam szanse na ulokowanie się w autobusie niepomiernie rosły.

Na pewno też dla tych, co mają w pamięci, że pierwszy poranny autobus do Ustrzyk Górnych z Sanoka odjeżdżał o 6.20 (jeśli komuś po drodze były Ustrzyki Dolne), a następny – przelotowy, z Krosna, za to zawsze zabierający każdego i osiagający cel via Wetlina – o 6.40. Pierwszą relację obsługiwał PKS z Sanoka – w latach 80. minionego stulecia dysponujący nowocześniejszymi, ale niezbyt pakownymi, autosanami, drugą PKS z Krosna, desygnujący na trasę jelcza „ogórka”, często z kierowcą – bratem łątą, który w Wetlinie miał w zwyczaju ogłaszać pozarozkładową przerwę na śniadanie (a po drodze dostarczał wiejskim placówkom pocztowym zaplombowane worki z korespondencją; podawał je upoważnionym ten z pasażerów, któremu udało się zasiąść na konduktorskim fotelu „ogórka”).

I na pewno dla niegdysiejszych burżujów zmotoryzowanych, przeznaczających z konieczności część przestrzeni bagażnika na zapasy paliwa: bo jeśli nie zatankował ktoś w Lesku albo w Ustrzykach Dolnych, miał szansę zrobić to tylko w Dołżycy – no, chyba że poratował go w głębi interioru kierowca z Zarządu Budownictwa Leśnego czy Ośrodka Transportu Leśnego, dyskontujący na własny rachunek różnicę między normą spalania a zużyciem faktycznym. Ale jeśli szofer miał pod kabiną silnik na ropę, a potrzebujący nie jeździł mercedesem (wszak w tamtych zamierzchłych czasach wszystkie syreny, fiaty, wołgi, moskwicze, zaporożce, skody, wartburgi i trabanty wyposażano wyłącznie w silniki benzynowe; przecież także i dlatego mercedes z dieslem pod maską był przedmiotem marzeń – jedynie posiadacze tej marki z taką jednostką napędową mogli jeździć tanio) – można było tylko siedzieć i płakać.

To książka dla poszukiwaczy swobody, ludzi z genem odkrywców, wolnych od trwogi i zmazy. Szlaków długo było tyle co nic, telefonów komórkowych w ogóle, a o GPS-ach nie śnili jeszcze nawet amerykańscy wynalazcy. Wysiadało się więc z autobusu, wyciągało mapę (której zgodność z terenem pozostawiała jakże wiele do życzenia...), ustalało azymut – i szło. Drogą zrywkową, ścieżką zwierzęcą, korytem potoku; byle w górę, byle przed siebie, byle

na połoninę, na otwartą przestrzeń. Tam już każdy czuł się bezpiecznie: znajome sylwetki szczytów (jeśli nie poznane podczas wcześniejszych wędrówek, to rozpoznawalne dzięki panoramom, rysowanym przez niezapomnianego Edwarda Moskałę) pozwalały w mig zorientować się, gdzie cel i jaka do niego droga.

To książka dla tych, którzy pamiętają, czym były dla milionów Polaków z różnych pokoleń Bieszczady, i jak wybitną w tych Bieszczadach rolę odgrywały Ustrzyki Górne. Nie Ustrzyki Dolne, nie Lesko; na pewno też nie Sanok (długo, acz bezskutecznie pretendujący do tytułu „Bramy Bieszczadów”) i nie żadna Komańcza ani Cisna.

Ustrzyki Górne były jedne, jedyne: najważniejsze. Były prawdziwym sercem Bieszczadów. W Ustrzykach Górnych stało schronisko, z Ustrzyk Górnych startowało się do marszu na Tarnicę i w całe jej gniazdo, z Ustrzyk Górnych ruszało się w drogę powrotną do cywilizacji, czyli na zachód, przez połoniny Caryńską i Wetlińską, przez Smerek i Wysoki Dział, w Ustrzykach Górnych ogniskowało się jakże bujne życie towarzyskie, społeczne, polityczne i uczuciowe. W Ustrzykach Górnych stał bar Pulpit: kto go nie znał, nie miał pojęcia o Bieszczadach.

To książka więc szczególnie dla tych wszystkich, dla których przywołane powyżej hasła nasycone są intensywnie barwną treścią. Ale to też może być książka dla każdego, kto chciałby do grona tamtych – leciwych dziś niechybnie, sentymentalnych – dołączyć. Bo choć czas płynie, choć ludzie się starzeją, choć na Tarnicę wchodzi się po absurdalnych schodach, nierzadko w tłumie godnym Giewontu, i choć zamiast wycia wiatru lub wilków częściej słychać dźwięki samochodowych silników, względnie muzyki o zamorskim rodowodzie – Ustrzyki Górne ciągle są.

Są i będą. Na szczęście!

Ta wieś legenda, wieś osobliwa. Która jest, ale jakby jej nie było. Bo próżno tam szukać zagród autochtonów, lokalnej, naturalnej, niewystylizowanej kultury, narosłych przez wieki (albo przynajmniej dziesięciolecia) zakątków, drózek, zahat i zagumni. To fenomen. To serce Bieszczadów, a dla wielu – ich stolica niekwestionowana. Bo o ile Cisna jest miejscowością niemałą, zaś Wetlina (przerazająco zaśmiecona urbanistycznym bezhołowiem) miejscem recepcyjnym nie gorszym – to przecież jednak szlaki do wszystkich najważniejszych miejsc wiodą właśnie z Ustrzyk Górnych.

Dlatego to one są wciąż sercem. Stolicą. Symbolem.

I. NAJDAWNIEJ

KOLEBKA W KOTLINIE

Kiedy tak naprawdę rozpoczęła się historia Ustrzyk Górnych – raczej nie wie nikt. Prędzej można szukać wyjaśnienia powodów, dla których powstały, aniżeli wiarygodnej i precyzyjnej metryki narodzin: takich mianowicie, że w równinnej kotlinie, położonej u stóp gór zwieńczonych rozległymi połoninami – pastwiskami zapewniającymi dostatek karmy dla zwierząt – było dość miejsca i czystej wody, tej podstawy życia, na założenie stałej i bezpiecznej bazy pasterzy, ich zimowego leża.

Taki musiał być początek. Bo to, co dalej i co później – oraz to, co udokumentowane – nie wychynęło wszak z próżni, lecz musiało mieć jakieś podstawy. A tymi podstawami (tak w Ustrzykach Górnych, jak i w całych Karpatach) były wędrówki pasterzy, w poszukiwaniu niezajętych terenów wypasowych idących coraz dalej i dalej, z południowego wschodu Europy na jej północny zachód, długim łukiem Karpat.

Jeśli dać wiarę ustaleniom naukowców – twierdzących, iż z analiz pyłków roślin, których szczątki zalegają w torfowiskach doliny Wołosatki, wynika, że bytowali tam ludzie – to zaranie historii tej datować można na okres późnego neolitu, a więc około 5200–1900 lat przed narodzinami Chrystusa. Ponoć (a przynajmniej tak uważał Tadeusz Sulimirski, prawnik, filozof, archeolog, historyk i antropolog zarazem, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w okresie II RP) pierwszymi hipotetycznymi użytkownikami ziem, na których leżą Ustrzyki Górne, byli starożytni Trakowie, wraz ze stadami owiec przemierzający Karpaty.



Masyw Połoniny Caryńskiej, czyli to, co w Ustrzykach Górnych niezmiennie od zarania dziejów (fot. Katarzyna Bałda)

WEJŚCIE KMITÓW SZRENIAWITÓW

Innych niż archeologiczne śladów pierwsi „lokatorzy” kotliny nie pozostawili, toteż udokumentowana wiedza o osadnictwie w Wysokich Bieszczadach zaczyna się od czasów aktywności Kmitów – możnego, licznego i rozległego rodu o rycerskiej proweniencji, zjednoczonego herbem Szreniawa przedstawiającym (według opisu Kaspra Niesieckiego):

rzekę srebrną w polu czerwonym w skos, czyli jak S przewrócone płynącą. Na hełmie lew bez korony między dwiema trąbami myśliwymi, u każdej z nich cztery dzwonki wiszą. (...) Jedni go familianci tak zażywają, że na wierzchu rzeki kładą krzyż i to zowią Śreniawa (...).

Kmitowie, rezydujący w zamku w Wiśniczu, będącym główną siedzibą głowy rodziny, zwrócili u schyłku XIV stulecia uwagę na praktycznie bezludne południowo-wschodnie ziemie i uzyskawszy stosowne nadania, zorganizowali wielką akcję osiedleńczą na Pogórzu Przemyskim i w Bieszczadach. Pobudowawszy zaś zamek na górze Sobień (koło dzisiejszego Leska), bezpośrednio nadzorowali z bliska lokację kolejnych wsi, których sieć wspinała się sukcesywnie w górę Sanu oraz jego dopływów. W ten sposób ich *sui generis* imperium

rozciągnęło się aż po źródła głównej rzeki regionu, aż po kres jednostki administracyjnej zwanej ziemią sanocką.

Bo co do tego, że grunty, na których powstały Ustrzyki Górne, wchodziły w skład ziemi sanockiej, wątpliwości być nie może – jako że profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza (najpierw Uniwersytetu Franciszkańskiego, potem UJK, jeszcze później Lwowskiego Państwowego Uniwersytetu ZSRR i Uniwersytetu im. Iwana Franki; nazwy, państwa i ustroje się zmieniały, uczelnia trwała...) Przemysław Dąbkowski, znawca nie tylko historii prawa, ale i dziejów pogranicza Zachodu i Wschodu w ogóle, opisał to rzetelnie, podając w pracy *Ziemia Sanocka w XV stuleciu*, wydanej w 1931 r., iż:

Najwyraźniejsza była granica południowa tej ziemi, która ciągnęła się grzbietem Karpat od przełęczy dukielskiej na zachodzie aż do przełęczy użockiej. (...) Od Birczy granica skręcała na południe i szła działem wód między Sanem a Dniestrem, względnie jego dopływami, t. j. Strwiążem, Mszańcem, Dniestrem i Stryjem, czyli mniej więcej wzdłuż dzisiejszej wschodniej granicy powiatu politycznego Lisko, jednakże z pewnym odchyleniem na zachód od tej granicy. W szczególności szła ona wzdłuż pasma gór Chwaniowa, na zachód od miasteczka Ustrzyki, które należało już do ziemi przemyskiej, stamtąd szła granica w kierunku południowo-wschodnim na wschód od Lutowisk i Wołosatego. Przełęcz użocka koło Sianek tworzyła ostatni punkt graniczny.

Ustrzyki Górne zatem leżały na samym krańcu ziemi sanockiej, podobnie zresztą, jak ulokowane są dziś: na krańszku Polski, na krańszku województwa, a i powiatu bieszczadzkiego oraz gminy Lutowiska – także.

Właśnie w trakcie tej kolonizacyjnej wspinaczki, której kierunek wskazywał przede wszystkim bieg Sanu, powstawały kolejne osady – aż wreszcie przyszedł czas na zajęcie się wygodnym (i kto wie, czy już wcześniej nie wypróbowanym jako dobre siedlisko?) miejscem u stóp gór: w dolinie uformowanej przez wody potoku, biegnącego od południa, zasilanego akurat tam dwoma dopływami, a mianowicie Terebowcem i Rzeczą. Potok ten nosi dziś nazwę Wołosaty – ale jego górny bieg, od źródlisk po Ustrzyki Górne, znany jest jako Wołosatka.



Wołosaty – potok, który od wieków był dla mieszkańców źródłem życia (fot. Waldemar Bałda)

NA WYRĘBIE, NA WOŁOSKĄ MODŁĘ

Osada, notowana po raz pierwszy w dokumentach z 1529 r. jako „Czerthezy ville Stuposyan”, powstała zatem jako wyręb na gruntach, przynależnych do Stuposian. Nadanie jej później nazwy Ustrzyki było naturalną konsekwencją lokalizacji: „ustryk” w gwarach rusińskich (w tym przypadku: bojkowskiej) oznacza ni mniej, ni więcej jak to samo, co „ustje riky”, czyli miejsce, w którym ciek wodny włącza się w nurt drugiego.

Jak odbywała się ekspansja, firmowana przez Kmitów? Wyczerpującą i kompetentną odpowiedź daje profesor Dąbkowski:

Ziemia orna, postrzyżona z krasy dziewiczych lasów, jakby ze wstydem kryje się pośród głębokich puszczy. Stanowi ona typ ziemi nowożytnej, do niego wprawdzie ma należeć przyszłość, jednakże na razie on jest wyjątkiem. Prawidłami są puszcza i pustka. Istnieją wprawdzie już wtedy w wieku XV niemal wszystkie dzisiejsze osady, jednakże obszar ziemi wzięty pod uprawę przy poszczególnych osadach, jest jeszcze bardzo szczupły, kilka, najwyżej kilkanaście łanów, poza tym dokoła bory i bory. Ziemia orna, której podówczas było jeszcze mało, jest przedmiotem ustawicznych sporów. Istnieją już do pewnego stopnia niektóre gałęzie przemysłu rolnego, wcale rozwinięte, jak zwłaszcza gospodarka rybna, przemysł młynny, hodowla bydła, żupy solne. Natomiast do użytków leśnych przywiązywano bardzo małą wagę. Lasy odgraniczały często poszczególne osady, granice leśne były zwykle obojętne, rozpląwały się one w głębi lasów, które były nierozgraniczone czyli nierozjęchane.

Zasady lokacji Ustrzyk Górnych normowało prawo wołoskie, rozpowszechnione u schyłku XV stulecia na górskich ziemiach, podlegających władzy królów Polski, i stosowane w przypadku miejscowości o gospodarce zdominowanej przez pasterstwo. Nie przewidywało ono wypełniania obowiązków pańszczyźnianych, lecz regulowanie czynszu w naturze (głównie w owcach i bydło); osadnikom przysługiwała dość duża swoboda, obejmująca wolność przemieszczania się; początek każdej osadzie dawało wyznaczenie lasu do wykarczowania i zagospodarowania. Kandydaci na osadników otrzymywali prawo wolnizny, czyli zwolnienia z opłat na rzecz hegemonia przez minimum 20 lat. Wsią zarządzał samorząd z kniazem – innymi słowy: sołtysem – na czele; była to osoba dobrze sytuowana, gdyż w zamian za pełnienie obowiązków zasadzcy kniaź otrzymywał kilkunastkowy udział w ziemi, prawo założenia i prowadzenia karczmy, młyna, folusza i barci leśnych, a także trzecią część wnoszonych przez osadników opłat i kar.

Osady, skupione w jednym powiecie, tworzyły krainę: zwierzchnikiem jej, zobowiązanym do organizowania w razie potrzeby zbrojnych oddziałów, był krajnik, zwany też wajdą albo wojdą. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, iż z czasem, w miarę umacniania się wsi oraz krain, a także w miarę osiagania przez ich przywódców zamożności, wołoska starszyzna zyskiwała na znaczeniu i była często przyjmowana – po nobilitacji – do polskich rodzin szlacheckich, co wiązało się z prawem używania ich herbów.

Lokacja następowała zazwyczaj „na surowym korzeniu”, czyli w lesie, który należało wykarczować, resztki odziomków i korzeni wypalić, ziemię zaś uzdatnić do gospodarczego wykorzystania; sadyby mieszkalne urządzano na wyznaczonych dla każdego osadnika osobnych działkach. Proces taki niekoniecznie jednak był tak dosłownie linearny, znane są bowiem przypadki, że zanim doszło do lokacji – przeznaczone nań miejsca właściciele oddawali w użytkowanie mieszkańcom już istniejących wsi sąsiedzkich, którzy w formie niejako „bonusa” za obecność otrzymywali możliwość eksploatacji dziewiczych ziem i po wytrzebieniu zarośli zyskiwali czasowe pastwiska bądź pola uprawne. W takich przypadkach kniazia ściągano na częściowo przygotowane grunty.

ZAŁOŻYCIELE ZE STUPOSIAN?

Tego rodzaju proces poprzedził najprawdopodobniej powstanie Ustrzyk Górnych, wzmiankowanych wszak w 1529 r. jako „Czerthezy ville Stuposyan”, a więc czerteże, czyli oczyszczone przy użyciu siekier i ognia grunty poleśne. Jeśli to prawda, faktycznymi założycielami podwalin pod wieś byłiby więc mieszkańcy Stuposian; resztę zrobili już sami osadnicy, którym – i owszem – łatwiej było stawiać domostwa na częściowo wylesionych ziemiach, ale przed którymi stało wyzwanie przekształcenia porośniętych drzewami obszarów w użytki rolne i pastwiska.

Inna sprawa, że wśród tych osadników dominowali zapewne ludzie ze Stuposian – swoją drogą wsi, która miała niemałe doświadczenie w obłaskawianiu dzikich ugorów, jako że ona sama powstała (o czym świadczą źródła), wypączkowując niejako z założonego wcześniej Żurawina.

O tym, że „ojcowie założyciele” poradzieli sobie ze wszystkim, świadczy fakt, iż pod nazwą Ustryki wieś pojawia się w znanych (bo zachowanych) aktach pod datą 1580: zawierający ją zapis dotyczył podziału majątku, pozostałego po Piotrze Kmicie (1477–1553) i wdowie po nim, Barbarze *de domo* Herbut, zmarłej właśnie w tym roku.

HERBOWI WŁAŚCICIELE

Piotr i Barbara – było to nietuzinkowe stadło. On – hrabia na Wiśniczu, wyróżniony tym tytułem w 1523 r. przez świętego cesarza rzymskiego Karola V, posiadacz znacznych stanowisk oraz dostojęństw (marszałek wielki koronny, a wcześniej marszałek nadworny koronny, wojewoda krakowski i sandomierski, starosta generalny krakowski, starosta przemyski, kolski i spiski, a prócz tego kasztelan wojnicki oraz sandomierski), zaliczany do grupy najbogatszych i dysponujących największymi wpływami magnatów polskich – miał doprawdy ciekawą biografię.

Po spędzeniu młodości na dworze i w służbie wojskowej cesarza Maksymiliana, współautora potęgi rodu Habsburgów, chwalebnie sprawdzony na bitewnych polach wojen z Tatarami, Rosjanami, Krzyżakami i Turkami, ceniony jako dyplomata, zachowywał bliskie i nacechowane dużym zaufaniem stosunki ze swym polskim monarchą Zygmuntem I Starym, a także jego żoną, królową Boną, oraz synem, Zygmuntem Augustem. O roli odgrywanej przezeń w państwie świadczyć może, że w 1525 r. był sygnatariuszem traktatu krakowskiego, prawnej podstawy hołdu pruskiego, złożonego przez Albrechta Hohenzollerna Zygmunutowi I, a także włączenie przez Bonę do nieformalnego triumwiratu dostojników wspierających jej działalność polityczną. W historii Piotr Kmita zapisał się też jako wyrafinowany miłośnik oraz mecenas kultury i sztuki.

Ona, córka podkomorzego przemyskiego Jana Herburta z Felsztyna i Dobromila, weszła – rzecz można – po śmierci męża w jego buty, gdyż została jedyną spadkobierczynią znacznej części zgromadzonych przez niego dóbr (z zamkiem Sobień włącznie): małżonkowie nie dochowali się bowiem dzieci; bezpotomne było też jej drugie małżeństwo, z kasztelanem międzyrzeckim Andrzejem Górką, notowanym w historii jako Andrzej II Górka.

Dokument, w którym wspomniano po raz pierwszy o istnieniu Ustrzyk Górnych, sporządzony po śmierci Barbary (a trzy lata przed śmiercią Andrzeja Górki), miał dalekosiężne znaczenie: likwidował *de facto* „imperium”, stworzone przez Piotra Kmitę, jako że dziedziców majątku było bardzo, bardzo wielu (na liście spadkobierców widnieli m.in. bracia ówczesnej Górkowej, Herburtowie). Ustrzykami obdarzono wtedy Jadwigę ze Stadnickich Tarłową (*notabene*, rodzoną babkę Maryny Mniszchówny, żony rosyjskiego cara Dymitra Samozwańca).

Nie był to jednak chyba legat zbyt okazały. Jeśli wczytać się w treść rejestru podatkowego z 1589 r., na Ustrzyki składało się 10 łąnów zasiedlonych przez kmieci (każdemu przypadają trzy ćwierci łąnu), 1½ łąnu użytkowanego przez sołtysa (ergo kniazia) i ¾ łąnu popowskiego. Wieś miała ponadto jednego zagrodnika – i młyn jednokołowy. Z faktu, iż była obciążona podatkiem, wyborny znawca przeszłości Bieszczadów Maciej Augustyn wyciąga wniosek, że kmiecie przestali korzystać z przywileju 24-letniej wolnizny – co oznacza, jego zdaniem, iż równiną kotlinę u zbiegu Wołosatego, Terebowca oraz Rzeczycy zasiedlono nie później niż przed 1565 r.

STADNICCY, DWERNICCY, USTRZYCCY...

Pośród posesjonatów z wczesnego okresu istnienia wsi znaleźć można – poza Kmitami, Górką, Tarłową – także nazwiska Dwernickich, a następnie Ustrzyckich.

Jak wyjaśnia Maciej Augustyn, pojawienie się w 1612 r. tych pierwszych (a ściślej: Dymitra, Szczepana i Jana) było typowym zjawiskiem dla początków XVI stulecia, kiedy wójtostwa

zamieniano na folwarki dworskie. Wójtów wywodzących się ze stanu chłopskiego usuwano z godności bezceremonialnie, acz za odszkodowaniem. Kniaziowie przynależni do szlachty stawiali opór, który złamać mogło – i zazwyczaj łamało – rozwiązanie kompromisowe: tracili oni wprawdzie pozycje, ale otrzymywali w zamian posiadłości ziemskie na własność. W taki oto sposób kilkanaście bieszczadzkich rodzin wójtowskich pochodzenia szlacheckiego, stając się właścicielami majątków, weszło w skład warstwy posesjonatów.

W przypadku Dwernickich – co uściśla Maciej Augustyn, a co, gwoli oddania honorów jego wytrwałym kwerendum, zacytować godzi się *in extenso*:

odbyło się to etapami i proces przejmowania Ustrzyk Górnych oraz innych dóbr trwał od 1612 r. do 1644 r., kiedy to Jan, Mikołaj i Teodor, synowie Dymitra Dwernickiego, zostali skwitowani przez ówczesnego właściciela latyfundium leskiego Jana Adama Stadnickiego.

Relacje pomiędzy Dwernickimi a Stadnickimi wyjaśnia zapis z 20 kwietnia 1626 r. W tym dniu na popis szlachty pod Sanokiem przybył poczet kasztelana sanockiego Marcina Stadnickiego, prowadzony przez Dymitra Dwernickiego, określonego jako famulus, czyli pozostający w służbie kasztelana.

Ma to ścisły związek z kwestią granicy ustrzyckiej, Dwerniccy bowiem pozostawali w zależności od Stadnickich, zaś stopniowe przekazywanie prawa własności do Ustrzyk Górnych było formą nagrody za wierną służbę. (...) przejęcie pełnych praw własnościowych, które dokonało się w 1644 r., zbiegło się w czasie z początkiem wyludniania regionu wskutek społecznych napięć, wojen i beskidnictwa.

Za Ustrzyckich (spokrewnionych z Dwernickimi; drogą koligacji zresztą weszli w posiadanie wsi) nazwa górskiej wsi wzbogaciła się w „sufiks” Górne, umieszczony dla odróżnienia od głównej posiadłości rodu – pieczętującego się herbem Przestrzał, a pochodzącego prawdopodobnie z Siedmiogrodu – czyli miasta Ustrzyki, obdarzonego apendyksem Dolne.

Ustrzyccy, nobilitowani przez króla Macieja Korwina w ostatniej ćwierci XV w., osiedli na Rusi Czerwonej w tym samym okresie: pierwszym rycerzem herbu Przestrzał po północnej stronie Karpat był Iwo. Jego wnuk Paweł przybrał – dla siebie i swej rodziny – nazwisko Ustrzycki; nastąpiło to pomiędzy 1550 a 1560 r. Spośród wszystkich jego nosicieli (chodzi, rzecz jasna, o sprawujących zwierzchnictwo właścicielskie nad Ustrzykami Górnymi) najwybitniejszym Ustrzyckim był Maciej Stanisław z Unihowa, zrazu podstarosta przemyski, potem podsędek, a następnie sędzia ziemski sanocki, na koniec zaś kasztelan sanocki – a także poseł na sejm, uczestnik sejmu koronacyjnego w 1669 r. i elektor króla Jana III Sobieskiego.

ZŁOTY INTERES DOSTOJNIKA

Maciej Stanisław – władający Ustrzykami Górnymi od 1662 r. – dokonał pięć lat później iście złotego interesu: w uznaniu jego zasług dla Rzeczypospolitej (a także w nagrodę za ufundowanie i uposażenie kościoła w Jasieniu) sejm zatwierdził postulowaną przezeń i gorąco upragnioną zamianę Ustrzyk Górnych na Ustrzyki Dolne wraz z Jasieniem.

Od tej pory zatem, aż do utraty przez Polskę niepodległości, górską wieś należała do króla (zastępowanego, rzecz jasna, przez odpowiednich urzędników: w tym przypadku – kolejnych niegrodowych starostów krośnieńskich), Stanowisko starosty monarcha nadawał dożywotnio osobom zasłużonym. Do obowiązków w ten sposób obdarowanych należało znajdowanie dzierżawców dla poszczególnych wsi, których w rozkwicie niegrodowego

starostwa krośnieńskiego było aż 32 (plus dwa miasta), a ponadto pilnowanie, aby odpowiednia część czynszu wpływała do królewskiego skarbcza.

Nawiasem mówiąc, Klemens Ignacy, syn Macieja Stanisława Ustrzyckiego, piastując stanowisko starosty, podjął zabiegi o nadanie Ustrzykom Dolnym praw miejskich; niestety dlań, choć usiłowania te zwieńczył sukces, wyniesienia swego gniazda do rangi miasta nie doczekał, biedak. Ustrzyki otrzymały stosowny przywilej trzy lata po jego śmierci, w 1723 r.

BESKIDNICY – PLAGA ZGOŁA ŻYWIOŁOWA

Jak wiodło się mieszkańcom Ustrzyk Górnych w owych zamierzchłych czasach – rzetelnie ustalić nie sposób. Na pewno ich życie nie biegło w sielankowej atmosferze: o spokój i bezpieczeństwo nie było tam łatwo, i to nie tylko dlatego, że taki jest z natury los osad położonych na pograniczu.

Przypomnijmy: Ustrzyki Górne leżały w ziemi sanockiej, która wchodziła w skład województwa ruskiego. Jeśli wierzyć (bo niby dlaczego nie?) autorytetowi wielkiemu, a mianowicie Władysławowi Łozińskiemu, nie była to z pewnością kraina ciesząca się dobrą sławą. Ten świetny powieściopisarz i historyk (a przy tym austriacki parlamentarzysta: zasiadał w Izbie Panów), którego *Prawem i lewem. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku* było, jest i niewątpliwie będzie dziełem czytany i cytowanym z najwyższą atencją, pisał otóż tak:

Województwo ruskie zawsze bywało widownią rozbojów i najczęściej po nim uwijało się zorganizowanych band zbójceckich, jakby na stwierdzenie przysłowia: „Na Rusi choćbyś jezuitę posiał, to przecież złodzieje się urodzą”. (...) Jak nadgraniczne wołoskie w ziemi halickiej, tak znowu Karpaty graniczne polsko-węgierskie w ziemi przemyskiej i sanockiej były siedliskiem band zbójceckich, strasznych zarówno obu sąsiednim krajom, bo na obie strony robiły wycieczki. (...) Czym byli dla ziemi halickiej bukowińscy i mołdawscy watahowie, tym dla ziemi sanockiej i samborskiej byli beskidnicy i spisnicy, górale nadgranicznego węgiersko-polskiego pasma.

Skutki aktywności tych opryszków Łoziński porównuje z konsekwencjami najazdów tatarskich, a apogeum ich wszechwładzy sytuuje w latach 1629 i 1630, kiedy węgierscy poddani z Bystrej, Lutni, Wołosianki, Zahorbia, Sławna tudzież Użoka, uformowani w liczne i zhierarchizowane grupy (na czele najgroźniejszych stali pop ze wsi Bystra oraz chłop nazwiskiem Łapszun; swoją drogą – o czym jeszcze będzie – ten ostatni zadomowiony był nieźle w Ustrzykach Górnych), niczym fala za falą zalewali w bandyckich misjach miejscowości położone na północ od grzbietu Karpat.

Pisarz wyjaśnił także okoliczności sprzyjające rozwinięciu się takiego – hmm... – rzemiosła:

Spotykamy niejedną wskazówkę, że dziedzic tolerował wybryki swoich poddanych, a co gorsza, że z nich korzystał. Nie można tego twierdzić o szlachcie znaczniejszej, dobrze osiadłej, żyjącej na widoku i pod kontrolą równych stanowiskiem społecznym sąsiadów, ale pamiętać trzeba, że w odludnych i bezludnych ustroniach górskich, wśród przełęczy beskidzkich, w „zarębach” samborskich, skrytych, zapadłych i niedostępnych, wśród borów i wertepów, siedział jak wilk niejedną mały szlachcic, pan na spłachciu owsa, na chudej połonińce, ale i na garstce głodnych i dzikich poddanych, że siedziała tam osobna klasa ludzi, niezdecydowana i nie sklasyfikowana co do swego społecznego stanowiska, częstkowi i zagonowi półszlachcice, półopryszki, półchłopi, owi wójtowie

strwiąscy, kniaziowie, krajnicy, łannicy, wolnicy, mający swoich chłopów poddanych, swoją niezawisłość i swoją jurysdykcję, czy to prawną, czy tylko uzurpowaną lub zwyczajową.

Cytat niekrótki, za to wymowny i sugestywny. I nie sugerujący, lecz wprost tłumaczący, genezę rozpanoszenia się rozmaitych watażków: że jeśli ktoś miał wysokie mniemanie o sobie, podpierane herbem, względnie niegdysiejszymi parantelami, ale majątku produktywnego o wiele, wiele mniej, to ufny w uprawnienia wynikające z urodzenia, rządził się w okolicy według przez siebie jednego ustanawianych reguł. Więc kiedy ziemia nie rodziła, lasy nie dawały korzyści, poddani nie znosili należnych darów – środki do życia czerpał z rozboju. Bo czuł, że ma takie prawo...

POZORNA ROZBIEŻNOŚĆ

Tak przy okazji, wyjaśnić trzeba rozbieżność pomiędzy informacjami o względnej swobodzie, przysługującej ludności z osad zakładanych na prawie wołoskim a pojawiającymi się choćby u cytowanego Łozińskiego wzmiankami o dziedzicach i ich twardej ręce.

Rozbieżność jest pozorna, a sprawa w gruncie rzeczy prosta. Swoboda obowiązywała najczęściej tak długo, jak długo wieś korzystała z wolnizny, i dopóty, dopóki na jej czele stał książę. Kiedy w roli zwierzchnika monarchę zastępowali obdarowani przezeń ziemią – lub zyskujący ten status w drodze transakcji handlowej – szlachcice, zazwyczaj szybko wykupywali wójtostwa, czyli dobra będące uposażeniem księcia, od niego samego lub (częściej) jego spadkobierców, zakładali na nich folwarki i obkładali członków wiejskiej społeczności obowiązkiem świadczenia pańszczyzny.

Zrazu nie były to obciążenia nadmierne (w interesie właściciela leżała wszak zamożność chłopów, odrabiających pańszczyznę sprzężajną, a więc posiadających zwierzęta pociągowe), z czasem jednak rosły – szczególnie wtedy, gdy mieszkającego w folwarku pana zastępował niezwiązany z konkretną miejscowością dzierżawca, zainteresowany w gruncie rzeczy li tylko czerpaniem z niej maksymalnie dużych korzyści. To bezwzględność takich zwłaszcza osób powodowała i ubożenie ludzi, i – będące konsekwencją pauperyzacji – zdarzające się nader często ich ucieczki na drugą stronę Karpat.

JESZCZE O POGRANICZNYCH ZBÓJACH

Na problemy wynikające z nadaktywności pogranicznych przestępców zwracał również uwagę Przemysław Dąbkowski – we wspomianej wcześniej pracy omawiający rozwój od XV w. handlu między Polską a Węgrami, obejmującego głównie wymianę soli i ołowiu na wino i miedź – stwierdzając, że: „Rozpowszechnione zbójnictwo było przeszkodą w rozwoju tego handlu”.

Do grupy groźniejszych lokalnych watażków zaliczał się prawdopodobny właściciel wsi, o którym Łoziński tak pisał: „Niejaki Mudryk Dwernicki z Ustrzyk był głównym bankierem tych band, kupował od nich zrabowane rzeczy i pożyczal im na zastaw pieniędzy”. Ponoć odegrał on rolę pasera w 1631 r., kiedy doszło do głośnego napadu na dwór w Dźwiniaczu Górnym. Przywódcą najazdu był osławiony (a i wspomniany wcześniej) Łapszun.

Nieźródny znawca dawnych akt sądowych zrelacjonował i ten przypadek:

Łapszun po trzykroć napadał na dwór Kazimierza Turskiego (...). Pierwszy raz beskidnicy torturowali pod nieobecność męża Turską, chcąc wydrzeć jej wyznania, gdzie mąż ukrył złoto, gotówkę i klejnoty, a nie znalazłszy tyle, ile się znaleźć spodziewali, porąbali wszystkie sprzęty, wypróżnili spichlerz, a zboże wysypali do rzeki, zrabowali i spalili kościółek. Pomagali im w tej robocie, która całych sześć godzin trwała, także poddani Turskiego, chłopci z Zwiniacza, którzy potem wraz z bandą zbójczą uszli do Węgier. Odparci za drugim razem, wracają po raz trzeci, dwór równają z ziemią, 20 zagród chłopskich puszczają z dymem i zabierają około 100 sztuk bydła.

Beskidnicy działali z rozmachem – ale czy, kiedy już zdecydowali się wkroczyć na przestępczą drogę, mieli inne wyjście? Żyli dynamicznie, obce im były troski o zaspokojenie codziennych potrzeb, nie siali, nie zbierali, a mieli. Aliści... Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że to wszystko może trwać krótko, bo w przypadku schwytania przez wysłanników świata prawa nie może spodziewać się pardonu, gdyż (co opisał Oskar Kolberg):

Schwytanych sądzono po grodach i karano surowo, najczęściej gardłem, nie szczędząc i tortur. Najsroższą było karą, gdy wieszano winowajcę na szubienicy, na pożarcie ptactwu, lub po ścięciu go, pokrajano kadłub na części i takowe dla postrachu wbijano na pale, white po głównych miejscach rozboju.

Czy Mudryk Dwernicki istotnie maczał palce w opisanych napadach, pomagając (niewątpliwie dla własnej korzyści) przestępcom w upłynnianiu łupów, dziś ustalić niepodobna. Jeżeli jednak było tak w rzeczy samej – to mamy do czynienia z jeszcze jednym potwierdzeniem starej zasady, iż do historii przechodzi się nie tylko dzięki uczynkom chwalebnyemu względnie szlachetnym, ale też kwalifikującym się do zgoła przeciwnej kategorii...

Bo o Mudryku trwały ślad w dziejach bieszczadzkich i ustrzyckich jest – a co ktoś wie o poczciwych i uczciwych chłopach, w pocie czoła pracujących na pożytek pana i zarabiających na skromny (by nie rzec: nędzny) byt swoich rodzin?

KRWIOPIJCY I NAJEŹDŹCY

Rzec można, iż przy Mudryku, współpracującym z opryszkami, Ustrzyki Górne nie miały się zapewne bardzo źle (bo trudno przyjąć, aby kontrahenci właściciela zubożali jego majątność...) – zdecydowanie gorzej było natomiast w 1701 r., kiedy zarządzał nimi dzierżawca królewskiej Aleksander Kotecki.

Skarżący się na węgierskich tołhajów (tołhaj to leksykalny odpowiednik beskidnika), którzy – przybywszy prawdopodobnie drogą przez przełęcz Beskid – do szczętu obrabowali jego wieś i puścili zabudowania z dymem, posesor zwracał uwagę, iż napastnicy uprowadzili wszystkich mieszkańców. Mogło być to prawdą, ale równie dobrze mogło się kryć za tym coś innego: że korzystający ze sposobności poddani złego pana o ciężkiej ręce po prostu przyłączyli się do bandy, aby po drugiej stronie Karpat znaleźć warunki do swobodniejszego życia – może całkiem wolnego od pańszczyźnianych obciążeń, a może tylko z powinnościami egzekwowanymi w mniej surowy sposób? Tak czy owak, w pierwszych latach XVIII w. Ustrzyki Górne trzeba było zakładać od nowa.

Rozwodząc się nad sprawą zbójników, nie można zapominać o innych agresorach, wobec których cywilni mieszkańcy byli bezbronni. Na zagrożenia, jakie nieśli, zwrócił uwagę Ryszard Wiktor Schramm (biolog, taternik i podróżnik, akademicki dostojnik Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), autor z zupełnie innych czasów, ale o wiedzy bogatej i piórze swobodnym, wartościowym.

Schramm otóż pisał w jednym z tekstów bieszczadzkich:

Zagony tatarskie nieraz docierały aż w ziemię sanocką i nie unikały bynajmniej zapuszczania się w wysokie góry. Przez Przełęcz Użocką u źródeł Sanu, a może też przez niższą, szeroko otwartą przełęcz Beskid nad górną Wołosatką, parły na Węgry koło roku 1240 hordy Batu Chana – a były to już strony, przynajmniej nad górnym Sanem, dawno zasiedziane. Zanotowane są napady w roku 1498, 1526, ogromny zagon Kantemira dotarł aż pod Krosno w 1624. Za grzbietem Jeleniowatego, w Muczynym potoku pod Bukowym Berdem, były w lasach jakieś dawne ślady osad i uprawnych pól. Wieść, przechowywana z pokolenia na pokolenie, niosła, że były to ślady dawnych wsi, które Tatarzy spalili i uprowadzili w jasyr – i nazwa miejsca od tej ich „muki” (męki) poszła, a była znana, jak potwierdzają przywileje lokacyjne, już w XVI wieku.

Powszechne też były obowiązki stróży i obrony przeciw nieprzyjacielowi. Tu właśnie, w Wetlinie, Ustrzykach Górnych i Wołosatem najliczniej siedzieli chłopci na łanach królewskich, wolniczych, obowiązani do służby wojskowej. W razie wojny szli do piechoty łanowej, wybranieckiej, zależnej od samego króla, w czasie mniejszych zamieszek byli powoływani pod komendę rotmistrzów „smolackiej” straży granicznej. W drewnianych skrzyniach przechowywali pieczęlowicie do ostatnich czasów stare dokumenty, wydane na podstawie przywilejów Stefana Batorego z 1578 roku, a choć przeważnie czytać nie umieli, przecież chowali te „papiery” w wielkim poszanowaniu, a i sami siebie dzięki temu „za coś” mieli...



Droga do przełęczy Beskid – widok współczesny (fot. Waldemar Bałda)